



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Z CYKLU SONETÓW

El...y'ego.

I.

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły,
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę —

Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły,
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz gdy chcesz działać ku powszechnej szkodzie,
Gwałcić istotne zadania człowiecze —
Trudem Danaid wszelka twoja praca;

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,
Wyższa potęga przemocą cię wlecze
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

II.

Przez chwilę możesz ślepą być zaporą,
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,
Którym natura leczy ludzkość chorą —
Tama rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażeby w wielkie rozlały jezioro,
A którą zaraz, z jutrem niedalekiem,
Wezbrane wody skruszą i zaborą:
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem!

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą —
Ni żądłem żmii, ni tygrysa paszczą —

Choć tryumf zgubnym twym dążnościom dadzą,
Z chwilą gdy tajne cele przeprowadzą,
Wraz z tobą — dzieło twoje zaprzepaszczą!

POGA WĘDKA.

Zima zastraszyła nas tylko, dmuchnęła mrozem, sypnęła garścią śniegu i uciekła; jesteśmy już w Grudniu napowrót na błocie i znowu mamy jesień na ziemi, jesień na szarem niebie, jesień w powietrzu, ach i jesienną słotę w duszach.

Wprawdzie do Bożego Narodzenia jeszcze półtrzecia tygodnia, ale kto wie, może i ono będzie musiało się obejść bez śnieżystych gwiazdek, któremi niebo sypnęło w zeszłym miesiącu tylko dla żartu.

Natomiast inna „Gwiazdka“ nie minie nas z pewnością; Towarzystwo Dobroczynności urządza pod zmienioną firmą swój doroczny Bazar w Salonach Resuursy Obywatelskiej i powraca *ab ovo*, do tej pierwiastkowej formy, od której ongi zaczęła swoje filantropijne przedsięwzięcia na korzyść biednych.

Będziemy tedy mieli tylko sklepy, tylko te

same namioty, które od tylu lat mieściły w sobie prowizoryczne handle, a w namiotach uproszone damy, spełniające obowiązki kupcowych. Żadnej innowacji, żadnych wabików, żadnego programu, zabrakło na to miejsca i... pomysłowości.

Jedynie coś w rodzaju jednodniówki zbiorowej, tylko obfitszej i staranniej zredagowanej, niż w roku zeszłym, będzie urozmaiceniem owej bazarowej „Gwiazdki“, czy też gwiazdkowego „Bazaru.“

Wydawnictwem zajął się p. Marcin Olszyński. Filantropia widocznie nie obawia się żadnej konkurencji wobec publiczności, wabionej na wsze strony rozmaitemi sposobami. Oto po całej garści koncertów, mieliśmy w Teatrze Wielkim poranek muzykalno-dramatyczno-choreograficzny na dochód kassy pożyczkowej artystów teatralnych i personelu służbowego. Fundusz tej instytucji wynosił z początkiem roku bieżącego około 43.000 rs., ale jest on własnością 525 członków, jako zawiązek kapitału oszczędnościowego. Summa tu powstała z 5%-owych wniosków od pobieranej płacy. W innych instytucjach wkłady są większe, a nadto pomnażają się dodatkami od zarządów, których dyrekcyja naszych teatrów nie ma z czego dorzucać, administrując nieswoim funduszem; ale za to zezwala na cztery widowiska w roku na korzyść kassy pożyczkowej-wkładowej; zatem publiczność dopłaca z własnej kieszeni pewną summę do ogólnych funduszy, przyczyniając się do ich wzrostu; nie czyni tego darmo, idzie bowiem do teatru, jak na zwyczajne widowisko, tylko z nadzwyczajnym programem, bawi się lepiej, niż kiedykolwiek i wynosi pewną summę przyjemnych wrażeń.

Artyści zaś pracują sami na siebie, biorąc udział w owych porankach i nie odwołują się do niczyjej łaski ani dobroczynności; przeciwnie, publiczność i filantropia pozostają zawsze ich dłużnikami, bo na iluż koncertach śpiewają,

grają i deklamują oni całkiem bezinteresownie, aby tylko talentem swoim i udziałem przyczynić się do powodzenia dobroczynnego celu!

Trzeba to umieć ocenić i wyróżnić.

Poranek ostatni zgromadził dość liczną publiczność, jakkolwiek jedyną nowością przyciągającą była jednoaktowa komedia Blizińskiego p. t. „Ciotka na wydaniu“, nie grana dotychczas na naszej scenie stałej.

Pan Myszuga—Raul z panią Rzebiczkową—Walentyną, żoną kapelmistrza naszego, śpiewali czwarty akt „Hugonotów“; primadonna spełniała swoje zadanie należycie, ale jak to bywa Franciszek Moor i Frano, Romeo i Romcio, Hamlet i Hamlecik w tragediach, tak może być Raul i Raulek w operze.

Pan Myszuga jest bardzo miłym tenorem lirycznym, ale heroicznym Raulem nie był.

Balet tańczył jeden akt z „Esmeraldy“, a p. Dąbrowska, o której zabyliśmy wśród gwiazdek naszej opery wspominałem, odśpiewała arya z „Proroka.“

Co do komedyi, to nie wiem dlaczego jej więcej razy nie powtórzono i nie wprowadzono na repertuar; podobno autor tylko na to jednorazowe przedstawienie zezwolił. Wogóle utwory ostatniej doby Blizińskiego, nie mają jakoś szczęścia do sceny, chociaż przed wielu innymi należy się im miejsce w repertuarze i pamięci reżyserji. Oile mi wiadomo autor „Pana Damazego“ i „Rozbitków“, ma obecnie w tece nową komedją, którą potrzebuje tylko wykończenia.

„Powodzenie „Ciotki“—pisze do jednego ze swych młodszych kolegów w Warszawie, ożywiło mnie i zachęciło znowu do pracy, zabiorę się z lepszym animuszem do skończenia komedyi, którą pisać zacząłem.“

Wierzę bardzo, że autorowi każdemu, a zwłaszcza komedyopisarzowi, potrzebną jest koniecznie taka zachęta, i to ze sceny koniecznie, od publiczności, od krytyki, nawet od artystów; bez niej opadają ręce, odchciewa się tworzyć, na co? dla kogo?...

Jak ryba bez wody, tak autor dramatyczny bez sceny długo żyć nie może; jemu potrzeba tej ciągłej podniety, tej jedynej i najwłaściwszej dla jego dzieła atmosfery scenicznej, on musi widzieć swoje sztuki grane, musi się czuć w repertuarze, aby ochoty do tworzenia, wiary w siebie nie tracił.

Poeta, powieściopisarz może poprzestać na duchu; dramaturg tylko w ramach sceny może swoje dzieło najwłaściwiej i najgodniej umieścić.

Krzywdę się zatem czyni autorowi dramatycznemu, zwłaszcza z doświadczonym i niepospolitym talentem, kiedy go się z jakichkolwiek pobudek pozbawia tej zachęty i od sceny utwory jego, nawet słabsze, trzyma zdaleka.

Oprócz „Ciotki na wydaniu“, granej wybornie w dodatku, powinnyby wejść do repertoaru Rozmaitości dwie ostatnie prace Blizińskiego: „Karyerowicz“ i „Mąż w drodze“, zapobiegliwa o dobro sceny dyrekcya przypomni je zapewne sama reżyssery.

Odłożywszy chwilowo pióro komedyopisarza, pan Józef wziął się do innej pracy, bardzo znacznej zapewne i pozytywnej, ale śmiem powiedzieć, że lepiej mógłby zużyć ten czas i to pióro, które po napisaniu „Męża w drodze“ zabrało się do spisywania „Barbaryzmów i dziwolągów językowych“, wydanych obecnie w osobnej broszurce nakładem samego autora w Krakowie.

Tę wiązkę chwastów zebranych na niwie przeważnie dziennikarskiej poświęcił w złośliwie dowcipnej dedykacji tym, którzy nietylko nie stoją z obowiązku na straży czystości i poprawności języka, ale sami jeszcze przyczyniają się do jego skażenia.

Sto kilkadziesiąt wyrazów zebrał w słowniczku obcych naleciałości językowych; są tam ulubione przez polityków dziennikarskich wyrażenia, siłą i mocą z francuzczyzny lub z niemczyzny przecignięte na naszą stronę, całkiem zbytecznie, a często niestosownie.

O tym języku i naprawie jego duży był do powiedzenia; grzechów coraz więcej, błędów się

mnoży bez liku, a co gorsza, oswaja się z niemi ogół czytelników i nawet wybrani pisarze.

Dość przerzucić nasze dzienniki; nie znajdzie dwóch, któreby się trzymały jednakowej pisowni, a o przecinkowaniu lepiej już nie wspominać. Każdy sobie wytwarza własne prawidła i w tej republice pisarskiej, co pióro, to inna ortografia, co głowa—to własne widzi mi się.

Sprawa ujednostajnienia pisowni, którą od tylu lat podobno zajmuje się poważna Akademia Umiejętności nie posunęła się ani na krok naprzód, ale raczej ugrzęzła gdzieś w materyałach i za uszy trzeba ją będzie ztamtąd kiedyś wyciągać.

„Barbaryzmy“ Blizińskiego, jakkolwiek same nie są wolno od błędów, choćby w samym tytule, powinnyby leżeć na każdym biurku redakcyjnym i literackim z przestroga: „Nie wolno pod karą publicznego pręgiarza zanieczyszczać własnego języka“.

Nigdy dosyć tej sprawie nie można poświęcić słów i uwagi, ale z obowiązku kronikarskiego muszę przejść do innych tematów.

Ubiegły tydzień był tygodniem nieszczęśliwych wypadków i sensacyjnych faktów; najpierw popełniono zbrodnię nieludzką na osobie siedemnastoletniej dziewczyny, służącej przy ulicy Hożej, której dwóch łotrów oderznięto głowę od tułowia. Przyszli rabować i zamordowali bezbronną ofiarę, aby ich nie zdradziła.

W ciągu roku drugi to już wypadek tego rodzaju.

Następnie przy gaszeniu pożaru przy Placu Trzech Krzyży w piwnicy zajętej na skład materyałów aptecznych zdarzył się wybuch gazów i ośmiu strażaków odniosło uszkodzenia cięższe i lżejsze; nie dosyć tego: w jednym z magazynów mół przy ulicy Nowo-Senatorskiej przez nieostrożność zapalił się gaz nagromadzony przez noc w lokalu z odkręconego kranu i znowu dwie osoby zostały poparzone.

Okazuje się, że ubezpieczenia od wypadków w tych czasach stają się obowiązkiem przeczności.

„Strzeżonych wprowadzie Pan Bóg strzeże“, ale i drugie przysłowie ma, niestety, wiele słuszności za sobą, że „nieszczęścia chodzą po ludziach“.

Z wiadomości dodatniej natury winienem zanotować szybkie i gładkie zakończenie sprawy z zapisem ś. p. Józefa Spornego, który, jak wiadomo, majątek swój przeznaczył na założenie ogrodu w Warszawie i Towarzystwu Ogrodniczemu przekazał spełnienie ostatniej woli, jakoteż przejęcie zostawionego legatu; legat ten potrzeba było wyłonić z przedsiębiorstwa fabryki asfaltu i tektury smołowcowej, którą zmarły do spółki utrzymywał z hr. Ludwikiem Krasińskim.

Delegacya wybrana przez instytucją spadkobierczą prozumiiała się z nim szybko po sprawdzeniu rachunków i poznaniu stanu całej fabryki, skutkiem czego kapitał 30,000 rs. ofiarowany przez hr. Krasińskiego, jako część należna z udziału nieboszczyka, zostanie oddany do dyspozycji Towarzystwa Ogrodniczego, po zgodzeniu się w dowy na ten układ, jako właścicielki dożywocia.

Swojego czasu wspominałem na tem miejscu o pięknym i szlachetnym projekcie młodzieży handlowej wyznania mojżeszowego w sprawie założenia i utrzymywania własnym kosztem szkoły rzemiosł przy lokalu stowarzyszenia.

Władza uczyniła zależnym zezwolenie na otwarcie takiej szkoły od zebrania funduszu na jej utrzymanie; inicjatorowie z dobrowolnych ofiar złożyli fundusz gwarancyjny w kwocie 5.500 rs. a stowarzyszenie ze swojej kasy do dało 1.500 rs. i w ten sposób umożliwiono założenie takiej szkoły, o której korzyściach i potrzebie chyba rozpisywało się już zbytecznie.

Istnienie i owoce działalności podobnego zakładu przy ulicy Jasnej pod kierownictwem dyr. Kühna są wymownym dowodem pożytku takich instytucji; szkoła rzemiosł dziesiąty rok rozpoczęła obecnie, a z wydanego sprawozdania widać, ile dobrego uczyniła dla młodzieży, poświęcającej się praktycznym zawodom.

Przedewszystkiem uratowała ich od męczeństwa terminu w pracowniach ślusarskich, szew-

skich lub stolarskich; rozwijała ich umysłowo, kształciła i w zawodzie obranym, i w innych naukach, o których nawet we wzorowo prowadzonych pracowniach mowy być nie może; skróciła czas praktyki i gruntownie wpoila w swoich wychowanców znajomość przedmiotów, potrzebnych dziś oświeconemu rzemieślnikowi, nie-rutyniście, pragnącemu zdążyć za postępem.

Z wykazów statystycznych widać, że 192 uczniów uczęszczało w ostatnim roku do szkoły dyr. Kühna, utrzymywanej ofiarnością obywateli, którzy pokrywają konieczny corok niedobór z własnych funduszy. Szczególna rzecz, że największą liczbę wychowanców stanowili synowie urzędników, następnie kupców i przemysłowców, najmniejszą zaś—właścicieli ziemskich, a stosunkowo i rzemieślników, gdyż na 6.000 prawie „majstrów warsztatowych“, tylko 47 posyłało swoich spadkobierców firmy i mienia do szkoły rzemiosł.

Reszta, widocznie, hołdując zasadzie, „byle wyżej“, próbowała posuwać ich w innym, wyższym kierunku i kształciła na coś innego, albo też poprzestawała na udzielaniu im praktycznej nauki we własnej warsztacie wśród terminatorów i czeladników zwyczajnych.

Ten ojcowski konserwatyzm, na dobre im nie wyjdzie, syn nie będzie lepszym majstrem od swego rodzica i nie posunie naprzód swoich uczniów i swego rzemiosła.

W ostatnich czasach sprawa rękodzielnictwa naszego stoi na porządku dziennym; coraz częściej zdarza się słyszeć o niem i czytać. W towarzystwie popierania przemysłu i handlu, toczą się zajmujące rozprawy na ten temat; ze składa danych sprawozdań widać jedno: iż dobry robotnik i wykształcony specjalista może znaleźć i zajęcie, i zarobek, ale że tych dobrych robotników wykwalifikowanych należy nie ma wielu.

Wśród narad nad poprawą każdego stanu rzemiosłowego, urodził się projekt założenia bazaru rzemieślniczego; źle mówię: urodził — powinienbym użyć wyrażenia: odrodził. Pamiętam bowiem, jak długo nosił się z nim ś. p. Stanisław Szafarkiewicz, jak gorąco się nim zajmował i ile przykładał wagi do niego.

Godzinami całami w poufnych pogawędkach rozwijał przedemną swoje pomysły dla dobra innych i przejmował się swojemi projektami, jak gdyby własnych jego dotyczyły interesów.

Nie było mu danem wykonać to, co zamierzył: umarł i niczego nie dokonał, ale myśli ludzkie nie umierają, gdy żywotne. Obecnie p. Juszczyk, znany i wymowny rzecznik spraw rzemieślniczych u nas, wznosił projekt nieboszczyka Szafarkiewicza i znalazł poparcie.

Wspomniany bazar byłby i sklepem, i wystawą wyborów rękodzielniczych, i rodzajem biura wywiadowczego dla zawiązywania stosunków przemysłowo-handlowych. Dla rzemieślników wygodna wielka; nie potrzebowałiby utrzymywać osobnych składów, mieliby wspólny, duży magazyn, na utrzymanie którego mogłyby złożyć się cechy małymi rocznymi ofiarami, a nadto pewien procent od dokonanych sprzedaży i zamówień pokryłyby z pewnością wydatki administracyi.

Łatwiej też dałoby się spopularyzować pewne firmy dobrych robotników, dobre wyroby, nowe wynalazki i ulepszenia w każdym zawodzie, a złączonymi siłami możnaby wyżej podnieść interes pojedynczych uczestników.

Dobrze się stało, że powrócono do projektu, który swojego czasu miał dużo zwolenników i dużo widoków powodzenia, i tylko śmierć głównego inicjatora, sprawę przewlekła i odsunęła.

Nie wiem, iloma głosami chciałbym poprzeć inny projekt, z którym p. Paulina Korwin Piotrowska udawała się bezskutecznie do Muzeum przemysłu i rolnictwa o urządzenie kursów gospodarczo-handlowych dla kobiet.

Tę utylitarną stronę wychowania naszych przyszłych żon i matek, pomijano w ostatnich zwłaszcza czasach zupełnie. Przypominam sobie sam, jakim spojrzeniem lekceważenia obrzucono mnie w pewnym salonie, kiedy po wszystkich popisach talentów i dowcipu panny, śmiałem

zapytać ją: czy wie też, jak się rosół gotuje i ile funtów mięsa potrzeba na obiad?...

A jednak, niechytno było nie ubliżać pannie, grającej na fortepianie i znającej języki, aby znała się choć trochę na kuchni i na prowadzeniu gospodarstwa domowego. Ta praktyczność nigdy nie zepsuła illuzji i nie zaszkoziła wdziękowi najpiękniejszych kobiet.

Rozpisywałem się niejednokrotnie w tym przedmiocie, więc powtarzać się nie myślę, ale gorąco przemawiam w imieniu kobiet samych, którym na własnym chlebie, czy w domu męża, niezarności i niepraktyczność wiele złego, wiele przykrości i wiele zawodów sprawić może, za urzędzeniem takich teoretyczno-praktycznych kursów, projektowanych przez p. Piotrowską. Gospodarstwo domowe i wiejskie, sztuka rządzenia domem, zawiadywania kuchnią i spiżarnią, wychowywania dzieci zdrowych i silnych, — wszystko, co do dobrej matki i dobrej gospodyni należy, stanowi dzisiaj całą umiejętność, na którą mnóstwo poważnych przedmiotów się składa.

Z mlekiem tego nie wyssać, z powietrza nie zacerpnąć, z głowy własnej nie wykrzesać, — trzeba się uczyć i doświadczać samej.

A zatem, do nauki, piękne panie, abyście nie potrzebowały waszych obowiązków potem spełniać poomacku i potykać się na każdym kroku!

Quis

KWESTYA KOBIECA.

Każdy, patrzący uważnie w życie społeczeństw, śledzący ruch idei i praktyczne ich oddziaływanie na losy jednostek, zauważyć to musi, że tak zwana kwestya kobieca, która przed kilkunastu laty dość hałaśliwie występowała na forum świata, głosząc wyzwolenie kobiety z poddaństwa, przeszła spokojnie i poważnie z kwestyi emancypacji w kwestyę pracy i wychowania kobiecego według potrzeb czasu i nowego ukształtowania się stosunków, zwłaszcza natury ekonomicznej. Że w zasadzie kobieta nie była nigdy odsunięta od źródeł światła i wiedzy wyższej, na podstawie, jakoby niższości natury swojej, świadczy długi szereg uczonych Włosek, które zajmowały katedry uniwersytetu bonońskiego, w czasach sięgających Wieków Średnich — świadczy dawniej jeszcze greczynka Diotyma, uniesmiertelniona przez dialogi Platona słuchaczka jego, i Safo, która z lirą w ręku stawała wśród Olimpijskich Igrzysk, ubiegając się o palmę zwycięstwa z mężczyzną. Były to wprawdzie wyjątki, a raczej: był to procent bardzo mały w stosunku do liczby kobiet, pędzących życie u ogniska domowego i pracujących w rodzinie na wyłączną rodzinę tej korzyść. Ale rzecz wynikała z naturalnego układu życia: był to konieczny na owe czasy podział pracy, wśród którego kobieta miała sobie powierzonym wydział spraw wewnętrznych, gdy mężczyzna brał na siebie zewnętrzne.

Natury niespokojne i lekkomyślne, natury harde i mniej głęboko, w życie patrzące, nazwały w biegu czasu obowiązki pętami — nazwały podział pracy niewolą i stworzyła się z tego kwestya emancypacji, o której Ricasoli powiedział kiedyś z mównicy publicznej, że jest to puszką Pandory, z której na świat wychodzi tylko zło samo i klęski, podkopujące porządek i harmonię życia. Correnti rzecz wtedy podniósł i odpowiedział na nią, nie ujmując się przecież za emancypacją, ale wykazując, że zmiany warunków życia nowoczesnego wymagają i pewnych zmian w przygotowaniu kobiety do istnienia dziś dla niej trudniejszego, niż było niegdyś, bo często pozostaje ona samotną i własnej sile w życie iść musi. Potrzebuje więc pracować, aby istnieć uczciwie i szczęśliwie, zatem wychowanie, tak publiczne, jak domowe, powinno ją do tego uzdolnić — dać jej środki do pracy, któraby mogła zapewnić jej trwanie o własnej mocy, jeżeliby okoliczności życia pozbawiły ją podpory ramienia męskiego. Odpowiednie wychowanie i pole do

pracy, godzącej się z usposobieniem, zdolnością i przeznaczeniem kobiety wśród społeczeństwa, należy jej się zatem, jako apanaż naturalny.

Że nie potrzebuje to być wynaturzeniem kobiety — że nie potrzebuje to być wykołajeniem jej z drogi, jaką ludzkość szlachetna i oświecona chce mieć szlakiem życia niewieściego, Correnti postawił jako przykład: starożytną Rzymiankę, a dalej kobietę naszą.

Małował ją pięknie i farbami świetnymi: wykazywał, jak umie stać o sile własnej, jak umie rządzić dobrze sobą i rodziną, jak potrafi być u ogniska domowego dzielną i mężną, będąc samostannie i niezawisłe wśród życia postawioną. Rozwinięty umysł przy szlachetnie i wysoko pojętym ideale kobiecości, ideale życia, pędzonego często przez nią dostojnie — oto podstawa, na której stoi ona podniosłe.

Tradycyjnych cnót ukochanie, tradycyjne pielęgnowanie cech rodzinnego charakteru i godności niewieściej, nie potrzebuje bynajmniej sprzeciwiać się żadnej uczciwej pracy na chleb, bo w zasadzie, która tu rządzi, najmniejszej sprzecznosci między temi rzeczami niema, tylko — jak właśnie dowodził Correnti — wychowanie powinno najpierw podnieść, obok moralnego, i umysłowy poziom kobiety, a następnie, przez uzdolnienie do pracy wraz z wyrobionem pracy zamiłowaniem, wyposażyć tak wychodzącą z rodzicielskiego domu, aby potrafiła żyć bez nędzy i cierpienia, wtedy nawet, gdyby samotną pozostała.

Programat to nasz stary, czynami żywego życia kreślony. Odkąd zagony tatarskie i odpiękanie nawały tureckiej kazalo nieraz kobiecie naszej znaleźć się z dziećmi samotną, na zgliszczach spalonego domu, nauczyła się ona tak pracować i radzić sobie, że od bardzo dawna jest do pracy samodzielnej usposobiona, nie przenosząc jej przecież bynajmniej na niwę jakowejś emancypacji, której w gruncie rzeczy nigdy nie potrzebowała, bo nigdy nie krępowała jej u nas jakaś konwencyonalność małoduszna, a tylko stało tu na straży tradycyjne pojęcie godności kobiety uczciwej. Że pod tym względem nie zmieniło się z biegiem czasu nic, dowodzi przychylności, jaką publiczność otacza u nas zawsze wszelkie przedsięwzięcie pracy kobiecej, która też, przybierając sobie nowe jej gałęzie, poszukując ich i torując w tym kierunku nowe drogi, nie wystąpiła prawie nigdy poza granice, które obyczajowość nasza wyznaczyła kobiecie zacnej.

Interes publiczny nie odstępuje jej też nigdy na tej drodze. Świeżym tego dowodem jest kwestyonaryusz, wydany niedawno przez p. Halinę Jasiońską, w celu zbadania kierunków i wytworzenia sobie obrazu pracy kobiecej u nas. Główniejsze jego pozyeje pismo nasze już czytelnikom swoim podało, wykazując, jak w ten sposób wiedza ogółu rozświecić się może, — ocenić nabytki i poznać braki.

Gromadzeniem materiału, z którego wytworzyłaby się przed umysłami obraz pracy kobiecej nietylko u nas, ale wogóle — wszędzie, gdzie kobieta trzodzi się i ramiona pod ciężar życia podstawiła, jest w piśmie naszym powtarzająca się stale co dwa tygodnie *Kronika działalności kobiecej*. Czego dokonywa mężna, na co się porywa odważna, czego pożąda szlachetna, co wypełnia praktyczna, — to notuje ta kronika od lat piętnastu — notuje z pilnością, i skrętnie, starannie, bo któż nie czuje, jak praca może ratować w nieszczęściu, bronić w upadku, zapełnić życie puste i podnieść więcej, niż nad braki materjalne, bo nad smutki, żale — tęsknoty i próżnią życia.

A uczucie godności, która wstępuje w pierś uczciwie pracującego człowieka? A uczucie pożyteczności, złożone z wszelką pracą, która użyteczność swoją jakimś sposobem powodzeniem wykazuje? Kto pracować może, nigdy zupełnie nieszczęśliwym nie jest, bo już ta myśl mieści w sobie pewne ziarenko szczęścia, że do ogólnego mienia ogółu swego przykładamy jakiś atom ubogacający. Aby najkromniejszy pracownik mógł kosztować słodczy takiego uczucia, niech powtórzy z poetą: „Czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży.“

M. Ilnicka.

S Z W A B

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Dalszy ciąg).

Martwe oczy spoglądały groźnie na przybysza, ale serce jego nie zatrwożyło się. Czuł, że znajduje się u siebie, między swoimi, że miejsce jego tu, w tym grobowcu pamiątek rodzinnych.

— Ktoby śmiał przeczyć, że jestem krwią z ich krwi, kością z ich kości? — wyrzekł, prostując się.

Wyniosły, z głową odrzuconą w tył, z marssem między brwiami, był w tej chwili zupełnie podobnym do jakiegoś rotmistrza pancernego, który walczył pod Chocimem. Zdjął tylko z płótna jego skrzydła i przypiął je pra... pra... pra... wnukowi, a nikt nie odgadnie, że między jednym a drugim upłynęły wieki.

W tej postaci zastał Mieczysława rządzca, który wsunął się cicho do sali.

— Wszelki duch! — mruknął Marcinkowski. — Nieboszczyk pan pułkownik.

I wygiął stary zeszcłe kości, aż zatrzeszczały, jak żołnierz, czekający na rozkazy dowódcy.

— To pan, panie Marcinkowski — odezwał się Mieczysław, spostrzegłszy rządzcę. — Czego tam?

— Chciałem zapytać: czy pan dziedzic nie raczy odebrać rachunków?

— W liście pisanym krótko przed śmiercią do mnie polecił mi nieboszczyk wuj pańską uczciwość i znajomość gospodarstwa. Zostaniesz więc pan nadal w Plewiskach i będziesz rządził pod moim kierownictwem, gdyż, będąc sam rolnikiem z zawodu, nie myślę próżnować. Rachunki przejrzyć wieczorem, a rozporządzeń nie wydać żadnych, dopóki się w majątku nie rozpatrzę. Do tego czasu niech spoczywa wszystko na rzetelności pańskiej. Teraz zdrzemnę się trochę, bo przyjechałem z Warszawy jednym dyzlem. Sądzę, że przebudzę się koło południa, a wtedy — na siodło i marsz na objazd dóbr! Czy są wierzchowce w Plewiskach?

— Nieboszczyk pan Suchorzewski kochał się w szkapskach, panie dziedzicu, zwyczajnie: stary kawalerzysta. Jest ich tam w stajni do dyabła.

— Bardzo dobrze. Niech konie będą gotowe na godzinę pierwszą.

— Słucham pana dziedzica.

Rządzca zawrócił się na obcasie po wojskowemu i chciał odejść.

— Panie Marcinkowski — zawołał Mieczysław.

— Słucham pana dziedzica.

— Ile pensji obierałeś pan za życia wuja?

— Ś. p. pan Suchorzewski wyznaczył mi przy końcu, oprócz ordynaryi i całego utrzymania, trzysta rubli rocznie.

— Dosyć to, ponieważ jednak obecnie wszystko podrożało, dołożę panu jeszcze sto.

— Do widzenia — dodał Mieczysław szybko, widząc, że się rządzca zabiera do dziękowania.

— Siarczyście ostry — mruzczał Marcinkowski, wyszedłszy na dwór — ale pan sprawiedliwy. Z takim to nie żal uganiać się po polach.

Jeszcze nie wybiła na zegarze godzina pierwsza, kiedy forys wyprowadzał ze stajni dwa osiodlane ogiery. Za chwilę ukazał się też pod gankiem młody dziedzic, ubrany w krótki kożuszek węgierski i długie buty lakierowane.

— Dawaj! — zawołał.

Jego głos barytonowy rozległ się po dziedzińcu, do najdalszego docierając zakątka.

Marcinkowski, który czekał już na pana, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ho, ho, tego ludzie usłyszą — mówił do

siebie, a musnąwszy wąsa, dodał: — takiego to warto słuchać. W którą stronę każe pan dziedzie jechać? — zapytał.

— Obejrzymy nasamprzód granice majątku, potem las, w końcu pola — odparł Mieczysław. — Prowadź, panie Marcinkowski.

Rządca, siedzący już w siodle, spojrzął spod oka na swego chlebowawcę, który kładł nogę w strzemień.

— Czy też z niego dobry kawalerzysta — badał stary żołnierz.

Mieczysław skoczył lekko na grzbiet wierzchowca i ruszył z miejsca galopem.

— Jazda! — zakomenderował. — Pan Marcinkowski pojedzie przodem, bo nie znam jeszcze drogi.

Wypadli na wieś, przebiegli ją wzdłuż i skręcili koło wiatraka na szeroki gościniec.

— Wszystko aż pod bór to nasze, panie dzieźdzu — pouczał rządca. — Tam, gdzie te słupy, to granica pruska.

Mieczysław powściągnął cugle i zwolnił kroku. Ogier wspiał się na tylnych nogach, tańczył, wierzgał, potem uspokoił się i szedł równo, stępą.

Właściciel obrzucił swoje łany bystrem spojrzeniem.

— Ogromna to kobyła — wyrzekł — trzeba będzie wystawić pod lasem drugi folwark, aby zyskać przy obrabianiu roli na czasie.

— Myślał o tem już nieboszczyk pan Suchorzewski, ale jakoś zwlekał i zwlekał, aż i zapomni.

— I mieszkania chłopów pozostawiają wiele do życzenia. Musimy je trochę wyporządzić, aby ludziom było wygodniej.

— I o tem mówił nieboszczyk pan; cóż, kiedy go choroba zaskoczyła!

— A tam, czyj to majątek? — zapytał Mieczysław, wskazując szpicróżgą na dużą wieś, widniejącą zdaleka czerwonymi kominami różnych fabryk.

— To Radliszcze pana Złotnickiego?

— Domyślam się, że pan Złotnicki prowadzi gospodarstwo przemysłowe.

— On-by nawet skórki sprzedawał, byleby zebrać więcej pieniędzy.

— Czy ich tak mało posiada?

— Et, nie, to bogaty pan, ale lubi pieniądze. Gdyby mu dać pół powiatu, toby się jeszcze za drugą połowę oglądał.

— Więc taki chciwy? A może i skąpy?

— I to nie. Grosza to on nie dusi, sobie i dzieciom nie żałuje niczego, ale chciałby mieć więcej. Taka już jego natura.

W tej chwili zatętniło coś na drodze. Tuż pod lasem ukazał się amerykan, zaprzężony w cztery siwe konie, pędzące wyciągniętym kłusem. Jakaś postać niewieścia siedziała na wysokim koźle, kierując białymi lejcami rozochoczone rumaki. Za nią z tyłu spoczywał lokaj w libery, poważny, sztywny, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Mieczysław zatrzymał ogiera i sięgnął mimowoli po czapkę.

Dwoje błyszczących oczu, świecących fosforycznie na tle zarumienionej od wiatru twarzy, zatrzymało się przez kilka sekund na jego postaci. Wesóły uśmiech odpowiedział na jego ukłon uprzejmy.

Powóz przeleciał z łoskotem obok jeźdźców, i znikł niebawem za chatami wsi. Mieczysław nie mógł oderwać wzroku od tego niespodziewanego zjawiska i patrzył uporczywie w pustą już dawno przestrzeń.

— To panna Złotnicka — odezwał się rządca. Wali, jak huzar, zuch dziewczyna. Jeszcze kiedy karku nałamię.

— Zuch... dzie...czyna — powtórzył Mieczysław z cicha, odwracając się wolno w stronę przeciwną.

IV.

Majątek państwa Złotnickich należał do najlepszych w okolicy. Do głównej wsi przylegały trzy folwarki, a wszystkie odznaczały się wyboro-

wą glebą i były zaopatrzone obficie w inwentarz i wszelakie przrządki gospodarskie.

W Radliszczach, w rezydencji dziedziców, stał wśród angielskiego parku świeżuteńki pałacyk, zbudowany w stylu włoskim. Naokoło domu, na klombach i w ulicach, czystych mimo jesieni i jej błota, było widać pracę dbałego o porządek ogrodnika. Ukryte między drzewami gloryetki i posągi, rozrzucone nad brzegami stawu budki dla łabędzi i ptactwa zamorskiego, świadczyły o wykwintnych upodobaniach mieszkańców.

Nazajutrz po przybyciu Mieczysława do Plewisk siedzieli państwo Złotnicki, jak zwykle, około południa przy śniadaniu.

Długi stół oplatał żywy wieniec, składający się z mnóstwa głów, między którymi było aż ośm dziecięcych obojga płci. Rzadki sąsiad umiał powtórzyć bez omyłki imiona córeczek i synków państwa Złotnickich.

Gdy podano czarną kawę, zerwała się młodzież z krzesel i pobiegła z guwernantkami i bonami do dalszych pokoi. W salce pozostali tylko: gospodarstwo, najstarsza córka, panna Ksawera, i goście. Jednym z gości był pan Zygmunt Jastrzębiec, uczesany jeszcze gładziej, niż zwykle, w szczelnie zapiętym tużurku, z monoklem w oku, drugim — wysoki, dobrej tuszy, poczciwej twarzy, grubego głosu, wąsaty i zamaszysty p. Rogowski, szlachcic na jednej wiosce.

Przedmiot rozmowy stanowią, oczywiście, najważniejszy wypadek partykularza wiejskiego, mianowicie przyjazd nowego właściciela Plewisk.

— Zdaje mi się mocno — mówiła panna Ksawera, dziewczyna średniego wzrostu, czerstwa, ruchliwa — że miałam przyjemność widzieć wczoraj pana Ringhofena pod lasem górckim. Jeśli to on był, to nie zdziwi mnie wcale, gdy usłyszę niebawem w kościele jakie ciekawe zapowiedzie. Przystojny ten pan Ringhofen i dziarski, przytem bogaty. Świetna partyja.

— Ksawerciu! — odezwała się pani Złotnicka tonem napomnienia.

Panna wstrząsnęła niecierpliwie główką, strojną w bujne włosy brunatnego koloru, przystrzyżone, jak u chłopca. Jej wążkie, różowe usteczka złożyły się w grymas uporu.

— I cóż, że mówię to głośno, co inni myślą pocichu? — ciągnęła dalej. — Jestem przekonana, że niejedna mamusia zarzuci czempredzej wędkę na złotą rybkę.

Słowem tym towarzyszyło spojrzenie szyderskie, posłane w stronę matki z dużych, szafirowych, zimnego połysku, oczu.

— Ksawerciu! — powtórzyła pani Złotnicka.

Panna zamilkła, oparłszy się plecami o tylną poręcz wysokiego krzesła.

— Mówił mi arendarz — wtrącił pan Rogowski — że nowy nasz sąsiad zabrał się odrazu ostro do roboty. Dwóch parobków upiło się podobno wczoraj i pobiło kowala, czy tam stelmacha. Pan Ringhofen kazał im manatki zapakować i fora ze dwóra. Karczmarzowi zapowiedział, żeby się wynosił ze wsi w przeciągu dwudziestu czterech godzin, bo go psami wyszczuje, a karbowego, który skrzywdził jakąś babę, wydalil natychmiast. Od samego rana widziano go już na koniu z Marcinkowskim.

— Prawda, że ostro — mruknął pan Złotnicki, trawiący w wygodnym fotelu wyborne śniadanie.

— Świeża miotła bywa zawsze gorliwa — zauważył pan Jastrzębiec.

— W takim razie nie byłeś pan nigdy świeżą miotłą — odezwała się pani Złotnicka.

Panna Ksawera wybuchnęła pustym śmiechem a pan Zygmunt polknął pigułkę z kwaśnym uśmiechem.

— Pani Złotnicka zawsze na mnie równo łaskawa — wycedził zwolna przez zęby.

— Bo matka pańska, umierając, poleciła mi gorąco swego jedynaka.

Jastrzębiec uklonił się niedbale.

W tem zatętniło przed pałacem.

— Goście jadą! — zawołała panna Ksawera, sfruwając ze stołka, jak spłoszona ptaszyna.

— Ksawerciu! — strofowała matka, ale córka była już przy oknie.

Za nią stanął Jastrzębiec.

— Któż-to taki? — zapytała dziewczyna.

Pan Zygmunt poprawił monokl, zmrużył powieki i skrzywił się.

— To ten szwab — odpowiedział.

— Jaki szwab?

— No, ten, Ringhofen, czy jak się tam nazywa, ten z Plewisk.

Panna przyłożyła do szyby swój zadarty nosek.

— Wcale na szwaba nie wygląda — wyrzekła — niejeden, co się chępli długim szeregiem antenatów polskich, mógłby mu pozazdrościć postawy rycerskiej i twarzy sarmackiej.

Odwróciła się i zmierzyła wymokłego panicza pogardliwym spojrzeniem.

On zrozumiał znaczenie jej wzroku; opuścił głowę i bąknął:

— Zapewne, prezentuje się nieźle, ale zawsze to jakiś Ringhofen, czy tam...

— A gdyby, zamiast panem Ringhofenem, był panna Ringhofenówną? — zapytała panna szybko, wpatrując się uważnie w zakłopotaną fiziognomia Jastrzębca.

— Nie domyślam się, dokąd pani zmierza.

— Tobys pan nie wymawiał jej nazwiska z takim lekceważeniem.

— Zdaje mi się, że nie zachodziłaby żadna różnica.

— O, duża! Bo panna Ringhofenówna byłaby wtedy dziedziczką Plewisk z przyległościami.

Pan Jastrzębiec zgarbił się jeszcze więcej.

— Kiedyż przestaniesz mnie przesładować, panno Ksawero? — mruknął.

— Wtedy, kiedy wyjdę za mąż, ale nie za pana — odparła panna i odbiegła od okna, śmiejąc się głośno.

— Gdyby nie moje długie! — westchnął panicz.

W tej chwili wchodził do salonu Mieczysław, prowadzony pod rękę przez Złotnickiego, który zapomniał o zwykłej drzemce na widok niespodziewanego przybysza.

— Pan Mieczysław Ringhofen, pan Rogowski, moja córka Ksawera — przedstawiał gospodarz, gdy się całe towarzystwo znalazło na drugiej stronie domu.

Jastrzębiec podał Mieczysławowi końce palców prawej ręki, pan Rogowski uściśnął mu dłoń całą garścią, wołając:

— Witamy, witamy szanownego sąsiada, bardzo nam przyjemnie poznać siostrzeńca zacnego pana Witolda.

A panna Ksawera przypatrywała się gościowi ciekawie, śmiało, prawie natrętnie, bez udanej wstydlivosti dziewczęcej.

On zatrzymał wzrok swój na jej białej buzi dłużej, niż na to pozwalała pierwsza wizyta, i uśmiechnął się zyczliwie.

— Miałem wczoraj przyjemność podziwiać zręczność i odwagę pani — wyrzekł.

Pospóli ten frazes wywołał na czoło panny rumieniec. Dla kogo innego byłaby znalazła szybką odpowiedź, ale pod spojrzeniem Mieczysława straciła przytomność. Pochyliła główkę... milczała.

Zaniepokoiła się sama tem wrażeniem, bo wstrząsnęła znów kędziarami z giestem rozpieszczonego dziecka, nieznoszącego cudzej wyższości. Już miała na ustach słowo „cięte“, kiedy oderwano od niej uwagę gościa.

— Mam nadzieję, że pan strony nasze polubi — zaczęła pani Złotnicka.

— Oko moje ogląda się tu daremnie za malowniczością i kolorytem natury bujniejszej — odparł Mieczysław — ale za to używa sobie serce, jak nigdy przedtem.

— Trudno być smutnym, gdy się zastanie dziedzictwo swoje w takim porządku, w jakim ś.p. pan Witold Plewiska panu przekazał. Gleba przednia, budynki nowe, a hipoteka zupełnie czysta. Najpiękniejszy to krajobraz.

— Słyszałem, że nieboszczyk nie sprzedał nawet szeszciorocznego zboża — dodał pan Złotnicki.

— Ho, ho, był to gospodarz, jakich mało — huknął pan Rogowski.

Na twarzy Mieczysława odmalowało się zdumienie. Czy żartują z niego, czy go nie rozumieją?

— Ziemia to przodków moich—odezwał się—marzyłem o niej od powicia, tęskniłem do niej, jak do najdroższej kochanki. Zdala wydawała mi się ta oblubienica urodziwszą, zbliżka straciła wiele na krasie zewnętrznej, a jednak ona moja, więc miła.

— Domyślam się, że pan, jako rolnik zagraniczny, rozpocznie w Plewiskach gospodarstwo przemysłowe—mówił pan Złotnicki—że założysz gorzelnię, fabryki. Warunki u nas bardzo wygodne, bo granica tuż za lasem, a drogi dobre.

— Nie jestem przyjacielem wódki, którą uważam za narkotyk szkodliwy, za rodzica znacznej części zbrodni i nędzy między ubogimi, i dlatego nie mam wcale zamiaru pędzenia okowity. Pracownicą moją będzie rola. Co ona wyda, a postaram się oto, aby rodziła jaknajobficiej, to wystarczy dla mnie, na cele publiczne i dla nie-szczęśliwych, którzy mnie swem zaufaniem zaszczyca.

— O, takich, którzy się rozłakomią na pańskie pieniądze, znajdziesz w naszych stronach bardzo wielu—odezwał się Jastrzębiec, przypatrujący się Mieczysławowi z niechęcią.—Niech się tylko ludzie dowiedzą, że pan nie chorujesz na oszczędność, a nauczają cię przezorności.

— Leniwych dziś dużo i niesumiennych—potwierdził pan Złotnicki.—Co do mnie, nie bawię się w dobroczynność. Trzymam się zdala od każdego, o kim wiem, że mógłby rękę wyciągnąć. Tałałajstwo!

— Trzeba umieć odróżnić rzeczywiście potrzebujących od wyzyskiwaczy—mówił Mieczysław.—Wielki to przecież przywilej posiadających, jedyne może ich szczęście, że mogą dawać, branie bowiem nie sprawia chyba nikomu rozkoszy. Właśnie miałem zamiar poradzić się państwa w sprawie, która musi być niezwłocznie załatwioną.

— Służymy panu z przyjemnością.

— Prosimy, prosimy—zawołano równocześnie żywo z tych stron.

— Poznałem w drodze do Plewisk Władysława Szulca i dowiedziałem się od niego, że dni jego na tym dzisiejszym majątku są już policzone.

Państwo Złotnicy, którzy wyciągnęli ciekawie szyję, skrzywili się. Jedyne pan Rogowski wyrzekł ze współczuciem w głosie:

— Wiem, wiem, słyszałem, szkoda starego. Nie był on nigdy gospodarzem, nie umiał się liczyć, ale zacności człowiek. W młodości nie odmawiał nikomu, gdy się do niego zgłoszono, a teraz....

— To dziwak, narwaniec—zawołał pan Złotnicki.

— Zmarnował prześliczny majątek—dodała pani.

— Sam sobie winien—mruknął Jastrzębiec.

— Ale to mąż zasłużony w niedalekiej przeszłości—mówił Mieczysław. Gdy gorąca nadeszła chwila, rodzinę rzucił, dom, dostatek, naraził wszystko, co jednostka ma najdroższego,—to żołnierz i obywatel. Że wypadki nie uwieńczyły powołaniem jego i towarzyszy jego marzeń, któż szlachetny ośmieliłby się zrobić im z tego zarzut? I takie nieudane porywy i takie obłędy, złudzenia spełniają swe posłannictwo, bo zostają tradycją dla dalekich pokoleń. Szaleństwo przodków płodzą w potomkach bohaterstwa.

Mówiąc to, cofnął się Mieczysław na fotelu i podniósł głowę. Żywsze barwy wystąpiły na jego obliczu, a oczy rozblęsnęły niepospolitym ogniem.

W salonie zapanowało milczenie. Państwo Złotnicy spoglądali na siebie bezradnie, Jastrzębiec uśmiechał się głupkowato. Tylko pan Rogowski przytakiwał młodzieńcowi.

A on oparł rękę na biodrze i ciągnął dalej:

— Do takich ludzi, jak pan Szulc, nie można przykładać zwykłej miary. Większe dzieła wykonają z łatwością, do drobiazgów czują wstręt. I cóż, że nie umiał gospodarować? Faktem jest, że poświęcił dużo dla kraju, że dawał, dopóki sam miał, i dlatego należy mu się wdzięczność ziomków i pomoc zbiorowa. W innych społeczeństwach wynagradzają przedstawicieli narodu swoich walczących, utalentowanych, dziel-

nych i znakomitych, obsypują ich godnościami, wieńcami, złotem; u nas zaś spada ten obowiązek na ludzi dobrej woli. Byłoby hańbą dla całej okolicy, gdybyśmy pozwolili panu Szulcowi zginąć. Chciałem się państwa poradzić: w jaki sposób zarządzić składkę między obywatelstwem?

Zamilkł i czekał na odpowiedź, szukając jej na twarzach gospodarstwa. Przy tej sposobności padł jego wzrok na pannę Ksawerę, która siedziała przez cały czas w kąci, nie mieszając się do rozmowy. Jej duże, szafirowe oczy, wlepione w gościa, zdawały się pytać: czego ten człowiek chce, dokąd zmierza, z jakich stron przybywa?...

Poraz wtóry zarumieniła się aż pod samą skroń, gdy uczuła na sobie spojrzenie Mieczysława.

Pan Złotnicki, który myślał dość długo, zanim zebrał się na ową „radę“, odezwał się nareszcie:

— Zasady pańskie przemawiają bardzo korzystnie za panem, szkoda tylko, że należą do sfery pobożnych pragnień.

— Dlaczego, szanowny panie?—podchwycił Mieczysław.

— Bo wątpię, czy znajdziesz pan kogokolwiek w powiecie, ktoby chciał ryzykować na rzecz Szulca choćby szełąg. Pożyczał on już nieraz nie oddawał nigdy.

Pan Rogowski poruszył się na krześle.

— W tym razie nie idzie o pożyczkę, lecz o pomoc honorową, należącą się weteranowi—mówił Mieczysław.

— O, Boże, gdybyśmy wszystkich weteranów mieli wydobywać z rąk wierzyteli, musielibyśmy pójść sami z torbami. Inne dziś czasy, panie drogi. Każdy powinien pamiętać o sobie, bo sprzyściły się na nas różne okoliczności, nie wyjmując natury: i ona przesładuje rolnika nieurodzajami. Panu zaś, jako młodemu sąsiadowi, radzę, ażebyś się nie zajmował cudzemi sprawami...

Pan Złotnicki chciał jeszcze coś mówić, ale Mieczysław podniósł się szybko z fotelu i wyrzekł:

— Nie miałem zamiaru zebrać w imieniu pana Szulca—rzekł—gdyż jestem sam, z łaski nieboszczyka wuja, dość zamożnym, abym mógł podać życziwą dłoń komuś, kogo będę uważał za godnego; pragnąłem tylko oszczędzić starcowi upokorzenia, jakiego niezawodnie dozna, gdy go uwolnię od subhasty. Zdawało mi się... ale nie warto o tem mówić... Mnie się wogóle wiele rzeczy zdawało, które się złudzeniami okazały... Trudno... przepadło...

Państwo Złotnicy powstali razem z gościem.

— W tej chwili każę podać kawę—odezwała się pani!

— Uprzejmie dziękuję... czas ubiega, a mnie wołają obowiązki... powetuję sobie innym razem, jeżeli państwo pozwolą.

— Prosimy, bardzo prosimy.

Mieczysław pożegnał się i wyszedł przed pałac. Gdy wszedł do powozu, schwycił go pan Rogowski za rękę i szepnął:

— To skąpcy, nie wierz im, nie wszyscy tacy. Szlachetnym jesteś człowiekiem, panie Mieczysławie, za co niech ci Pan Bóg wynagrodzi. Teraz mniej u nas takich, coraz gorzej na świecie. Goły ze mnie szlachcie, ale gdybyś czego dla starego potrzebował, nie omiijaj mnie, błagam cię. Co będę miał, dam, mało to będzie, ale pójdzie z serca.

— Dziękuję panu, dziękuję...

— Po drodze do starego leży moja chatka gdybyś był u niego, panie Mieczysławie, wstąp do mnie. Pogawędzimy o różnych rzeczach. Wstąpisz?

— Będę jeszcze dziś u pana.

— Więc zaraz jedziesz?

— Dwakroć daje, kto się śpieszy.

— Niech ci Przedwieczny błogosławi.

Kiedy Mieczysław opuścił salon, dzwignęła się panna Ksawera ze swego stolka ociężale i potarła ręką oczy, jakgdyby się ze snu budziła. Zbliżywszy się do okna, patrzyła za odjeżdżającym, nie troszcząc się o matkę, którą ta ciekawość niepokoiła.

— Ksawerciu!—napominała pani Złotnicka.

Powóz znikł za drzewami parku—dziewczyna odwróciła się.

— Co mama każe?

— Powiedz Malińskiej, żeby podała kawę.

— Jakże się pani ten jegomość podobał?—zapytał Jastrzębiec zeicha.

— Zupełnie on niepodobny do pana.

— Więc podobał się, bo ja...

— Zostawiam panu wolne pole do domysłów. Jastrzębiec przygryzł usta i zamilkł.

Mieczysław śpieszył tymczasem do majątku starego Szulca, leżącego o dwie mile od Radliszcz. Cofnąwszy się w głąb powozu, spoglądał z pod brwi przed siebie, chmurny i niezadowolony.

Znów pękło jedno ogniwo w łańcuchu jego marzeń.

— Ci ludzie przemawiali jak szachraje, których najwyższym panem jest ordynaryjne samolubstwo...

W głowie młodzieńca zaczynało się robić jasno, ale przykre to było światło, rozpraszało bowiem różowe półcienie złudzeń, a odsłaniało brutalną prawdę, sprawiającą rzadko przyjemność.

Mieczysław zmrużył powieki, usiłował zasnąć, pragnąc zapomnieć o świeżo nabytem doświadczeniu. Lecz w tej chwili błysnęła przed nim para ocz szafirowych, dużych, wpatrzonych w niego.

Uśmiechnął się do tego zjawiska.

— Zuch—dziewczyna—pomyślał i przypomniał sobie wszystkie szczegóły, odnoszące się do Ksawery.

— Dzielnie wyglądała wczoraj na amerykańce, rozkosznie zabarwiał dziś rumieniec jej ładną buzię.

Psotny amerek unosił się nad nim z łukiem gotowym do wypuszczenia strzały. Mieczysław nie bronił się... liczył przecież lat dwadzieścia sześć.

Byłby dumał z rozkoszą, jaknajdłużej, gdyby nie stangret, który zapytał:

— Gdzie zajechać, jaśnie dziedzicu?

— Czy to już Rekowo?

— Rekowo, jaśnie dziedzicu.

— Do dworu!

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZYTANIE RODZINNE.

Książki dla dzieci i młodzieży.

(Dokończenie).

Do dobrych, najlepszych książek tegorocznej *Gwiazdki* należy oryginalnie napisana przez p. Zuzannę Morawską powieść dla dorastającej młodzieży: „Wilcze gniazdo.“ Ma ona tło bardzo pożądane w utworach tej kategorii, jest historyczną, z początków XIV wieku: z czasów Władysława Łokietka w Polsce, Gedymina na Litwie, a Dietricha Altenburga na stoliny Krzyżackiego Zakonu, i rzecz rozgrywa się też między trzema ościennymi państwami.

W dziedzińcach starożytnego malborskiego zamku stoi dotąd budynek, który, wedle podania, był niegdyś szkołą, gdzie kształcono młodzież chowającą się pod opieką Zakonu, a któremu harda wyniosłość Niemców dawała nazwę: *Wilczej Jamy* „Wolfshöhle“ z powodu, że wychowankami były dzieci pobitych Prusaków i zagnana w niewolę z taborem krzyżackich zagonów młodzież litewska, a niekiedy i lacka. Autorka oglądała pamiątkowe mury, usłyszała ich legendową nazwę i napisała powieść bardzo zajmującej treści: dzieje wypadku, podobnego do losów owego Alfa, w którym pomimo zewnętrznego pokostu zniemczenia, „duszą została litewska—został zaś po rodzinie i ku Krzyżakom nienawistny.“ Tu porwanem przez Krzyżaków wilczęciem litewskim był Siewros, prawnuk starca Tubingasa, pana na litewskim obronnym zamku—knezia a razem ka-

plana: „Tew's Kunige“ — i książka zaczyna się od religijnie obrzędowego obrazu, gdy starzec wywiódł w puszczy leśną, pod dąb święty, pokolenie swoje na pobożną uroczystość powitania wiosennego słońca. Oddział Krzyżaków, błędzących luźno po lasach, jak myśliwcy za zwierzem, napadł lud spokojny i śpiewających hymny na cześć jasności, ogrzewającej ziemię — na cześć wiosennego odrodzenia się natury — począł mordować, a kogo nie dobił, w niewolę chwycił, do warowni swych pędził. W liczbie jeńców takich był chłopczyzna nieszczęsny. Matka, której w zamieszaniu przepadł, wyciągała w dal ręce, nawołując go rozpacznie, lecz związany on był łykiem wroga — związany i pędzony przy jego koniu, potem przewzany niemieckiem mianem Fryca, chowany w niemieckiej szkole.

Nawet języka swego zapomniał, ale jak ów Alf, z pożaru płonącego miasta porwany, „krzyk matki długo, długo słyszał.“ Krzyk ten „pozostał mu w uchu“ a z nim złączyły się też obrazy przeszłości i świadomość istoty jego moralnej: „Krzyk ten budził się w duszy, jako echo w jaskini“ i jak u Alfa „choć imię było niemieckie, dusza została litewską, więc też uciekł z Malborga wraz z towarzyszem, podobnie tu w pęta wziętem dzieckiem znad Wisły — Jaskiem jasnowłosem. Uciekli obaj tajemniczym wyjściem z lochu, gdzie byli zamknięci za karę probowania rozmowy nie w niemieckim języku — uszli w świat daleko, daleko, dostali się po różnych kolejach losu aż do Wilna, na dwór Gedymina, gdzie Siewros mógł się dać poznać, odzywając się językiem rodowitym, nagle odzyskanym na swobodzie, jak to dziełny chłopak rzewnie opowiada Gedyminowi: „Mowa ta była we krwi i w piersiach moich, dźwięczała mi w uszach, jak szum lasów niezapomnianych, a gdy poczuł dym chaty rodzinnej, to i mowa, zgubiona wśród krzyżackiej niewoli, znalazła mi się.“

W powieść wplatane są obrazy barwne, zdolne też zająć żywo wyobraźnię młodą — obrazy książęcego dworu Gedymina i poselstw wyprawianych do niego: krzyżackich, lackich. Jedni przybywali, aby z teutońską chytryością tumanieć ku nigasa Litwy, drudzy jako swaty Władysława Łokietka, aby prosić księżniczkę litewską Aldonę, dla królewicza Kazimierza — tego, które w dziejach nosi miano Wielkiego.

Nietylko Siewros odzyskał rodziców, ale i drugi sierota biedny znalazł matkę, i powieść kończy się wesoło. Wśród pań lackich, które przybyły na dwór Gedyminowy, aby stanowić orszak wiodący królewskiemu małżonkowi oblubienicę, znajdowała się Małgorzata z Zabierzewa a ta, gdy ujrzała Jaska, wyciągnęła w górę ręce, wołając do Jezusa Ukrzyżowanego i Świętych Pańskich, aby jej zesłał pomoc w walce przeciw tumanowi może wzruszenia, powstałego z długich tęsknot i bolesnych wspomnień o zagubionym dziecku. Lecz nie... miłość macierzyńska odnalazła w twarzy młodzieńca nigdy niezapomniane rysy dziecka utraconego i rzecz kończy się tak radośnie, wesoło, że przychodzi na myśl staroświeckie gadek naszych zakończenie: — Miód, wino pilem!...

Wyobraźnia młoda podaje też kielichy miodu i wina — kielichy ze słodkim, nietylko fantazyją, ale i uczuciem zapalającym napojem, gdy dobra książka przeniesie czytelnika w krainę odpowiednich obrazów i widzeń. Choć *Wileze Gniazdo* nie jest dziełem jakiegoś wyższego talentu, choć może książka sama wręcz nie uskrzydli do takich połotów; ale, że otwiera perspektywę, w której młody czytelnik znajduje obrazy, mogące posłużyć do wytworzenia w nim takiego stanu ducha, jest więc pedagogicznie bardzo dobrą i zalecającą się do czytania, dla chłopców zwłaszcza.

Romantyzm tu jest początki i tego wyższego gatunku, który nietylko skarby złota i srebra jako pożądany wziętek przedstawia i nawet nie samem tylko uratowaniem osoby własnej, wśród niebezpieczeństw wyobraźnię młodą zajmuje. Szlachetny ideał jest tu gwiazdą, świecą w głębi i to się wyższym przymiotem książki staje.

A i to jest dla czytelników dobrą nauką życia, że do tryumfu i radości przez cierpienia i trudy prowadzi, bo hartuje, bo charaktery wyrabia, przy-

nosi zatem więcej, niżeli samo zajęcie wyobraźni.

Ale już i to jest bardzo potrzebne w czytaniu dla młodzieży. Książka, która tak oddziaływała, że nad codzienność, nad pospolitość życia przez wyobraźnię podnosi i pokazuje szersze pole działalności, większe rozwinięcie sił, niżeli tego potrzebują sprawy powszednie, jest książką edukacyjnie pożyteczną. Nie znaczy to jednak, aby obowiązkowość: odrabianie codzienne zadań życia, nie miało również wielkiego, bardzo wielkiego znaczenia, bo to jest pierwszy, nieodzownie potrzebny grunt pod cnotę wszelką, lecz ograniczyć się w wychowaniu do tego tylko, jest to ubożyć życie i sprowadzać je na ten jedyny trakt niższy, na którym, kto będzie nad korcem, to go w łeb strychulcem. Pod strychulcem dni codziennych trzeba użytecznie, porządnie umieć chodzić, bo to znaczy codzienną swą pracę dokonywać, siły w spokojnym ruchu wyrabiać — nie gnuśnieć i nie rozleniwiać się, nie psuć leniwym wzrokiem, i tego powszedniego chleba, o który się modlimy w pacierzu, darmo nie jeść. Ale kto obok tego umie stanąć na służbie wyższych, dobru i prawdzie poświęconych interesów życia, ten jest dopiero człowiek. I dlatego potrzebnym jest w wychowaniu pewne podniesienie wyobraźni nad poziom materialnych tylko spraw i celów życia i, co za tem idzie, obudzenie w piersi młodej uczuci i pragnień, będących tęsknotą za czemś, leżącym poza ubitemi szlakami codziennego deptaka życia — potrzebnym jest coś fantazyi tam wzniesić. coś, jak migot anielskich, czy hussarskich uskrzydlen oczom ukazać.

Razem znaczy to pewną poetyczność w wychowanej istocie wytwarzać, a gdy się z nią połączy charakter, wyrobiony szlachetnie na podstawie obowiązku i prawa moralnego, na podstawie oświeconego rozumu, nie może nigdy powstać z tego Don Kiszot, z wiatrakami wojujący. Ale, że nie może nigdy urobić się inaczej człowiek wyższy, że nie dodam już bohater — że nie może urobić się inaczej istota, odczuwająca hasło: — „Ty nad poziomy wylatuj!“ — to już rzecz pewna. Są szczęśliwe organizacje duchowe, które same sobie to wezmą niewiedzieć z kąd — z nieba, ziemi, z powietrza, z piersi własnej wydostaną, przeciw nie przesądza to zasady, ani jej usuwa. Wychowanie powinno w każdym razie wrodzony ten przymiot kształcić, kierunek mu dawać.

Jest edukacja wyobraźni, tak, jak jest wyobraźni etyka. Kto o tem w wychowaniu nie myśli, ten naraża wychowywaną młodzież albo na stępienie tej szacownej w życiu człowieka władzy, albo na błąkanie się jej niesforne, więc nieraz szkodliwe, bo manowcami idące. Obrazy czynów śmiałych, a niepowszednich, wytrwałych walc z losem, mężne stawianie mu czoła w dobijaniu się do celu pragnień — ideałów swoich, jest pożądanem w czytaniu dla młodzieży, jako wzory życia dobre: dobre skierowanie wyobraźni i odpowiednie wytknięcie jej drogi. Książki takie są też instynktownie lubione przez młodych czytelników, przez chłopców zwłaszcza, i wśród tegorocznych wydań gwiazdkowych mogą się ucieścić jedną taką wydaną przez Gebethnera i Wolffa, a z angielskiego przełożoną przez M. J. Zaleską: — *Młody wygnaniec — przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich*. Tom to gruby, przeszło pięćset stronic liczący, lecz rzecz od początku do końca jest ciekawa, bo dramatyczna przez zapasy z naturą jeszcze dziką i pierwotnym, na jej łonie żyjącym człowiekiem. Pełno tam przygód, odkryć i niebezpieczeństw, które pokonywać trzeba, ale do wyższych zalet książki należy niezaniechanie przytem nigdy nakazów moralności: postawienie ich przed oczyma czytelników — skierowanie na ten punkt uwagi ich umysłu. Wśród niebezpieczeństwa potyczek, jaką młodzi osadnicy znad rzeki Arkansas napadnięci przez Indyan zwozić z nimi muszą, wśród wojowniczego ich zapалу, odzywa się do nich głos, uczciwie stawiający im przed oczy prawo człowieka tubylca do ziemi, która według Boga i sumienia była jego własnością. — „Posłuchajcie — mówi siostra do braci — Indyanie od niepamiętnych czasów zamieszkiwali ziemię amerykańską. Jeszcze na tem miejsce nie powstała noga

białego człowieka, gdy oni mieli ją w posiadaniu i ówczas nikt im praw ich nie ograniczał: polowali swobodnie po lasach i stepach, rozkładali wszędzie koczowiska swoje. Tak było i w tej puszczy, pókiśmy tu nie przybyli i, nie pytając o nic, nie zagarnęli dla siebie gruntów najlepszych. Strzelaliśmy zwierzyne, rąbaliśmy las — gospodarowali, jednym słowem, jakgdyby na swoim.“

Przecież nie było to *swojem* dla przybyszów białych i ztąd wyniknąć musiała walka, wśród której słusność nie była po stronie osadników europejskich: więc żadna ich wygrana nie była zwycięstwem dobrem i szczęśliwym w skutkach, bo ciągnął się za nią długi łańcuch zemsty i odwetów, zakłócających spokojnie pracowite, więc szczęśliwe życie, jakie mogli wieść znajdujący się tu ludzie wśród przestrzeni tak szerokiej, że przy zgodzie i uczciwym pożyciu z bliźnimi swymi, każdy mógłby mieć istnienie po bożemu dobre i piękne.

Jest tak wogóle wśród wszystkich życia stonków, to też stawiając wypadki stanowiące fabułę książki, w oświetleniu ich przez pojęcie prawa i sprawiedliwości, autorka czyni z czytania zajmującego czytanie zarazem nauczające, jak to jest zawsze przy wszystkim, co wychodzi z pod pióra p. M. J. Zaleskiej.

Drugie jej dziełko, dla młodszych przecież dzieci: „Niezgodni królewice i królowa z perłowego pałacu, bajki prawdą przepłatane“ — także rzecz bardzo dobra, wydana również nakładem Gebethnera i Wolffa, z kolorowanymi rycinami pomysłu i rysunku p. Miłosza Kotarbińskiego. Tu pod formą bajki, miło pisanej, dostaje się dziecku użyteczna prawda: różne ciekawe dlań wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, które, zajmując, mogą myśl młodą w danym kierunku zwrócić, co przy dobrem pokierowaniu stać się może zamiłowaniem naukowym.

„Gry i zabawy dla młodzieży,“ to bardzo dobry podręcznik, w kierunku przez tytuł wskazanym, pomagający, aby wakacje i czas świąteczny, od nauk wolny, nie przechodził dla uczącej się młodzieży nudno i gnuśno, co jest pod względem moralnym i fizycznym rzeczą bardzo niezdrową. Tam, gdzie panują nudy, przychodzą nieraz pokusy mniej dobrego przepędzania czasu, a zarazem młodzież nie otrzymuje tego ożywczego promienia wesołości, która jej się należy, bo jest dla młodości tem, czem ciepły blask słońca dla rośliny. Rozwija i każe sokom żywotnym krążyć pełniej: daje ruch swobodny, zastępujący, naturalnie, to, do czego ćwiczenia gimnastyczne sztucznie, więc zawsze gorzej prowadzą. Dobrze się bawić i zamiłowanie dobrej zabawy nabyć, — to znaczy: zdobyć sobie wcale niemałe zabezpieczenie się przed złem.

Lista poezyi podanych do deklamowania wśród zebrań młodzieży jest bardzo dobrze, rozumnie; bardzo pocziwie dobrana, i dla tej jednej pozycji już warto jest rodzicom i nauczycielom książkę nabyć. Bardzo też miłe wrażenie sprawia wprowadzenie gier staroświeckich: prostych i wesołych; książka liczy już wydanie drugie, nakład księgarni Hösicka.

Także nakładem Hösicka wyszły cztery ładnie wydane książeczki dla zupełnie małych dzieci. Stanowią one część „Biblioteczki obrazkowej.“ Młody świątek, dla którego są przeznaczone, z uciechą przeglądając będzie obrazki i czytać wierszyki dość dobre. Nie są to wprawdzie bajki Jachowicza, ale tacy przyjaciele dzieci, tacy znawcy dziecka i dziecka nauczyciele nieczęsto się rodzą. Ilustrowanie wyboru bajek Jachowicza byłoby wielce dla dzieci naszych pożądane i pożyteczne, bo swojskie to jest i pocziwe, pedagogicznie rozumne. Tytuły wspomnianych książeczek są: „Dziatki się bawia,“ „Na wakacjach u babuni,“ „Przyjaciele dzieci,“ „Przyjemności wiejskie.“

M. Ilnicka.

ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Ten „dobry smak” episyerski, ta „podniosła właściwość zawistników i niedołęgów,”¹⁾ pod jarzmo której „geniusze, duchy wielkie, jak Aj-schylos, Izajasz, Juwenal, Dante, Shakespeare, owe istoty rozkazujące, gwałtowne, zamętu i porywów pełne, krańcowe, owi zwoleńnicy uskrzydłych pędów, wyzwoleńcy granic, rozkoszujący się nieskończonością, nieposłusznym wędzidłom „arystarchów,” oporni retorycy państwowej, niegrzeczni dla asmatycznych literatów, niepilnujący się higieny akademickiej, przekładający pianę Pegaza nad mleko oślicy”²⁾ nigdy karku nie ugną; ta opoka, na której wznosi się gmach bezmyślnej ospałości, ta gwarancja możności spokojnego, bezbarwnego, pospolitego wegetowania—specjalnie cieszy się wyjątkową nienawiścią, a raczej pogardą poety. Chłoszcze on przy każdej sposobności zapędy karłów, którzy, nie mogąc pojąć olbrzymów, szaleńcami ich mianują i za „żelazną kratę dobrego smaku” wtłoczył-by ich chcieli, chłoszcze ich straszliwie biczem śmiechu i szyderstwa w całym rozdziale „Zoil równie nieśmiertelny jak Homer” w „Williamie Shakespeare,”³⁾ w każdej prawie ze swych przedmów bojowych i w niezmiernie liczbie ustępów poetyckich, do których teraz i „Cała Lira” parę ustępów dodaje. „Dobry smak, to krata” — powiada w jednym miejscu — „strzeżcie się tego starego dobrego smaku!... Dobry smak dzieli, klasyfikuje, odosobnia, a z obawy buntowniczych porywów wszystko zamyka na kluczyk. Wsadza do klasztoru, a mówi, że wypuszcza na wolność; obcina, a mówi, że tworzy... Dobry smak jest kuzynem zawiści i członkiem zgrzybiałych senatów; sercu i życiu nadaje formę zamkniętego na kłódkę puzderka... Przed wszystkim, co wielkie, cofa się... Przepędźcie środki ostrożności przeciwko wszystkim szaleństwom: arcydziełom, promieniom zbyt jasnym i kobietom zbyt pięknym. Dla niego ideał, styl, człowiek, las, ptak — mają cel jeden tylko: zrobić użyteczną parę nożyc. On czyni dusze obłudnymi, on czyni duchy pedantycznymi i, nie dbając o następstwa, powtarza tylko monotonię: Bierzcie w zęby wędzidło!... Być małym, nędznym, nikczemnym — oto pierwsza reguła jego rytuału... Tylko przez niedorzeczność człowieka — według niego — może być dowcipnym.”⁴⁾ „Barykadujcie wasze drzwi” — woła z większym jeszcze sarkazmem w innym miejscu — „zamykajcie okiennice, o filistrzy, aby przypadkiem rozum i prawda nie dostały się do waszych domów! Człowieku uczony, człowieku poważny, mięczaku zamknięty w swej skorupie, kinikolwiek jesteś, strzeż się gwałtownego wtargnięcia światła, myśli, ducha do tej ciemnej pieczary, gdzie wegetuje zamknięte na dziesięć zamków twe serce; strzeż się tego największego niebezpieczeństwa, abyś miał żyć prawdziwie. Ostryga winna się zamykać z chwilą, gdy książka się otwiera, bo dość czasem jednego słowa rzuczonego w duszę, aby wykopać tam przepaść i napelnić ją światłością. Najbezpieczniejszym schronieniem idiotyzmu jest ciemnota... Pedantyczny idyota z arrogantą i powagą surową na czole, ciemny jest, bo, udając, że wie wszystko,

ignoruje wszystko, a geniusz uważa za zbrodnię...”¹⁾

Tyle negacyi. Zgromiwszy w tak zabójczy sposób wszystko, co *małe*, nędzne, płaskie i nikczemne w tym zakresie, cały ów „dobry smak” i „zdrowy rozsądek,” które nieustannie „krzyczą nad uchem rodowi ludzkiemu: „Myśl tylko o swej skórze,”²⁾ — poeta zwraca się do tych *wielkich*, których episyerska popoliłość w trzeźwej a niezumnej zarozumiałości swej miano „szaleńców” stosuje do geniuszów, do wieszczów, do „przewodników,” co od Izajasza do Byrona wskazują rodowi ludzkiemu cel najwyższy, zawsze tensam, a zawsze nowy pod niebokręgu błękitnem sklepieniem.” Wielka jest ich potęga,³⁾ ale przyznając im tę moc wielką, poeta równie wielkie niedostępne dla innych stawia przed nimi cele i zadania. „Myśl to potęga, to władza. Ale władza każda mieści w sobie obowiązek.”⁴⁾ A więc — „Ktokolwiek jesteś, duchu, geniuszu, który czujesz swą siłę, który żyjesz i który — czy-to śród sławy, czy wśród szyderstw tłumu — nasycaś się własną wielką duszą, surowa natura, która w sobie samej tylko znajdujesz pokarm i w sobie światło! Ty, który jesteś zarazem hymnem i wyciem przeraźliwym, słońcem i chmurą, pieczęrą i lwem! jakakolwiek-by była twoja epoka: pełną ciemności, burzy, opuszczenia, grozy, łachmanów, całunów, — idź nieustraszenie, niechaj nie nie zdoła nigdy pozbawić cię odwagi.”⁵⁾ Zwłaszcza w ciężkich, gorzkich, do zwątpienia i rozpaczki wiodących chwilach otwiera się dla wieszczów, proroków, geniuszów olbrzymie pole wdzicznej, płodnej pracy: „Niekiedy zmęczona dusza ludzka zdaje się upadać pod brzemieniem przeciwności; dzwoniący zębami całują lód, ślepi kochają swoją ślepotę. Upadki bezlitości! Wszystko nikczemnieje, ludzie maleją. Wszystko obumiera. Zdawać-by się mogło, że rozpoczyna się jakieś olbrzymie spodenie, wyrażanie się serc, które stały się żądzami. Niestety czasem naród — o Grecy! tyś to widziała; o, Rzymiel ty to znasz — uczuwa jakieś lenistwo ohydne, jakąś hańbiącą niechęć do wielkości i mówi: Dość, dość już Ajaxów! Dość Achillesów, Brutusów, Solonów, Aj-schylosów! Dość bohaterów o czystych czołach! Dość tych arkad sławy, które z całej naszej historii robią jeden wielki most olbrzymów pod błękitami! Dość już wyniosłych Propyleów, Partenonów, Partenonów! Dość głów gwiazdami uwieńczonych! Dość już wielkich ludzi!... Siadajmy do biesiady. Całe dzieje są snem tylko. Niech żyją gody, co nie mają końca! Niech żyją zbrodnie niezmytel! Niechaj kobieta z kwiatami we włosach, ze złotem na rękach umiła nam uczyć! Niechaj duch nowy nas nawiedzi! Bądźmy tymi, których dotąd nie widziano! Niechaj Ateny zważą się Tersytem! Niechaj Rzym zwie się Davusem! Żyć, to jedyna nasza ambicja! Gotujmy, wesola tłuszczo bezbożników, przy ogniu Prometeusza ucztę Trymalcyona! — Wówczas-to blade tłuszcze, na które czeka ziejająca mogiła, przybierają wszystkie pozory dymu i nieości. Straszliwa czarna noc okrywa dusze, losy, kroki, czoła, serca, oczy; tłum śpi, je, pije, wegetuje w ciemności, pelza, nuci, śmieje się — a jutrzienka nie chce rozbliżyć na niebie.

Człowiek utracił skrzydła sokole,
Kobieta nad swą hańbą zawodzi,
Purpurę wstydu czuje na czole
Na myśl o synu, którego zrodzi.
O myślicielu, ciemna to chwila!
Walczł tu moc twoją niech się wysila!
Do ideału, wskazuj, gdzie droga.
Ludziom, co z gruzów wiary skarłalej
Widzą przed sobą przyszłość bez chwały,
A wszechświat — pusty, bez Boga.”⁶⁾

Oddaje tu poeta stanowczo piękno, sztukę, poezję na usługi prawdy, dobra, postępu. Jakto? —

wyrwie się niejednemu okrzyk zdumienia — on, Wiktor Hugo, on, twórca poniekąd teorii *l'art pour l'art*, on tak stanowczo zmienia zdanie? — Tak jest — i to nie poraz pierwszy. Nie wspominając o „Karach,” „Roku strasznym” i mnóstwie pojedynczych ustępów, w których poeta, wbrew pierwotnie głoszonym w przedmowach do „Pieśni orientalnych” i „Liści jesiennych” zasadom, zrobił poezją służebnicą kwestyi politycznych i społecznych, zwróć tu tylko uwagę czytelników na księgę VI-tą („Piękno w służbie prawdy”) wspomnianego już tyle razy dzieła o „Shakespearze,” w której W. Hugo tych nowych, zmienionych zadań sztuki szeroko i przekonująco broni.

Niepodobna nie uchylić głowy przed słusnością przytoczonych tam dowodów — a poeta dodaje do nich w „Całej Lirze” jeszcze kilka słów potężnych w pełnym głębi niezmierniej, mistycznej nieco, a zarazem plastyką uderzającym utworze: „Dlaczego wielcy ludzie są nieszczęśliwi:”

Czuwając raz śród zwalisk w noc cichą a ciemną,
Posłyszałem tę mowę wydarzeń tajemną.

My jesteś ny kowale a wieszczę proroki
To kowadła. Bóg zamknął je w grocie głębokiej
Do pracy przy tworzeniu nowych ras gotowe.
Bo ludzie, — to zwierzęta złe, podłe, jałowe,
Potworne — i czas przyszedł na ich przekształcenie:
Tylko ciosami można zmienić pokolenie.

Otóż ludziom bez uzdy, prawa, serc, zapału,
Trzeba było dać duszę zamiast dawnej z kału,
Z której-by im załśniło przeczcucie wielkości.
Trzeba było dać ludziom duszę, w której gości
Światło, ogień, moc słodycz, — tęskniąca w błękity,
Ojcowską względem dziecka, biatnią dla kobiety,
Duszę dobrą. I rzekł Bóg: Kujcie dla helotów
Tych duszę, — i nieszczęścia dał nam zamiast

[młotów.

Wielcy ludzie czekali w zadumie; i padła
Zgoda, że zużyjemy te chmurne kowadła.”¹⁾

Księgę poświęconą sztuce zakończył W. Hugo bardzo słusnie prześlizgnięm pozdrowieniem, przesłanem za grób w Dzień Zaduszny 1872 r., zmarłemu przyjacielowi swemu, Teofilowi Gautier, temu kapłanowi i arcymistrzowi sztuki, temu „synowi Grecyi starożytnej i młodej Francyi” — razem, poecie, w duszy którego Zachód spotykał się z jutrzienką, „który pojmował, że „podnosił wartość piękną, dodając doń wielkość.” Poważnie a wzruszająco brzmią smętne elegii tej tonu: „Pozdrawiam cię na surowym progu mogiły! Idź szukać prawdy, ty, który za życia umiałeś znaleźć piękno. Wstępuj na stromą drabinę. Z wysokości posepnych jej stopni odślania się widok na arkady czarnego mostu nad przepaścią wieczności. Idź! umrzej! ostatnia godzina, ostatnim też jest stopniem! Leć, orle, napatrzysz się przepaści do woli; ujrzyś to, co jest bezwzględne, rzeczywiste, najwyższe, — odczujesz technienie złowrogiego wiatru, wiejącego na szczytach i olśnienie wobec cudu wiekuistego... Druhu mój, i ja czuję posepną pełnię przeznaczenia, i ja początek śmierci mam w osamotnieniu, i mój głęboki wieczór niepewnie rozgwieżdża się zaczyna. Oto zbliża się godzina, w której i mnie odejść wypadnie. Nic życia mego. zbyt długa, drży i dotyka już prawie ostrza miecza. Wiatr, który cię uniósł, i mnie też zwolna pociąga. Pójdę za tymi, którzy kochali mnie, wygnańca. Ich oko wyteżone przyzywa mnie na łono nieskończoności. Biegnę — nie zamykajcie furtki cmentarnej... Trudno, takie jest prawo bytu, nikt go uniknąć nie może; wszystko chyli się zwolna i ten wielki wiek ze wszystkimi swymi blaskami i promieniami zapada w cień olbrzymi, ku któremu śpieszymy wszyscy, błądzi wędrowcy. Oh, jak przykry jest w zmroku tym łoskot dębów ścinanych na stos herkulesowy! Rumaki śmierci poczynają rzeć radośnie, bo świetny wiek się kończy; ten wiek wspaniały, który zmógł wszystkie wichry przeciwne, ostatnie wydaje technienie...”²⁾

1) Ks. IV, 19, tom I, str. 304.

2) „William Shakespeare,” ed. jak wyżej, str. 220.

3) Warto porównać z ustępami z „Całej Liry,” które przytaczamy poniżej, ciekawy ten rozdział, zwłaszcza porównując od ustępu IV. („W Shakespeare” — str. 219—230).

4) Ks. IV, 11, *A propos* kraty dobrego smaku, tom I-szy, str. 281.

1) Ks. IV, 19, tom I, str. 306 i 307.

2) „William Shakespeare,” ed. jak wyżej, str. 66.

3) Ks. IV, 20, „Przewodny,” tom I, str. 309.

4) „William Shakespeare,” ed. jak wyżej, str. 278.

5) Ks. IV, 22, tom I, str. 317.

6) Ks. IV, 22, tom I, str. 317.

1) Ks. IV, 23, tom I, str. 321.

2) Ks. IV, 24, „Do Teofila Gautier,” 325.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

(Dokończenie).

Opowiadanie o olbrzymich głowonogach nie jest baśnią i to, co Wiktor Hugo opisał w swych „Pracownikach morza“, nie było bynajmniej tworem rozbudzałej fantazyi.

„Naturforscher“ podaje kilka szczegółów ciekawych o tych zwierzętach morskich.

W zatoce Concepcion na New - Foundland w Październiku roku 1873 napadniętą została łódź mieszcząca dwóch ludzi, którzy zdołali odrąbać olbrzymiemu krakowi dwa ramiona siekiera; z nich jedno miało 19, a drugie 6 stóp angielskich długości.

Inny krak, wyrzucony w zatoce Fortuna, mógł być dokładnie zmierzony. Długość jego wynosiła 10 stóp ang. (około 3 metrów). Posiadał 8 ramion, z tych 6 krótszych po 10 stóp ang. o średnicy 23 centymetrów, dwa zaś dłuższe i cieńsze ramiona miały 42 stóp ang., tak, że długość całego zwierzęcia wynosiła około 52 stóp.

Okaz schwytany w zatoce Trinitas w roku zeszłym, wystawiony był przez kilka dni w akwarium nowojorskim. Długość ciała wynosiła 9½ stóp, a obwód 7, ramiona długie były na 30, a krótsze na 11 stóp, średnica oczodołów 8 cali (20 centym.).

Prócz tych okazów udało się złowić jeszcze kilka większych; rybacy jednakże używają ich dla psów na pokarm i do znęcania ryb, skutkiem czego badanie bywa bardzo utrudnionem.

Poznane dotąd morskie te olbrzymy należą wszystkie do głowonogów o dziesięciu ramionach z tych 8 otacza głowę, a z przednie są to ramiona chwytne. Ramiona te pokryte są banieczkami a służą prawdopodobnie do dokładnego uczepiania się zdobyczy i ssania. Najlepiej, poznane rodzaje są *Saepia* czyli *matwa* i *Kalamarnica* (Loligo). Budowa ich ciała jest tego rodzaju, że mogą doskonale pływać, a zatem przebywać bezustannie na pełnym morzu. Głównem ich siedliskiem jest Ocean Atlantycki, zwłaszcza w swej północnej części.

* * *

Przychodzi nam dziś zapisać odkrycie bardzo ciekawe. Dziś jeszcze czytamy o niem z niedowierzaniem; ale czyż nie było czegoś podobnego w czasach, gdy Watt ogłaszał swe odkrycia o sile pary?—a przecież motory parowe są dziś znane w całym świecie i stosowane w przemyśle jaknajobszerniej.

Idzie tu o nowy motor, obmyślony przez Reeley'a.

Zasadą w nim jest drganie ciał stałych.

Wiadomem jest prawo fizyczne, że jeżeli jaki przedmiot drga i wydaje ton, to znajdujące się w jego bliskości przedmioty będąc nastrojonemi na taki ton, jak przedmiot drgający, poczynają drgać i wydają ton wyższy lub niższy, ale zawsze podobny. Komu nie zdarzyło się zauwa-

żyć, że przy uderzaniu pewnego tonu na fortepianie odpowiada szyba, kiedyindziej profitka na lichtarzu lub t. p?

Ucho nasze pochwycić jest zdolne najwyżej drgania wynoszące 75.000 wibracji na minutę, które odpowiadają mniej więcej nucie *c* w 8-jej oktawie; w wyższych oktawach ucho ludzkie nie dosłyszy już tego *c*.

Oktawy te jednakże w naturze bez wątpienia istnieją. Liczba wibracji z wysokością dźwięków rośnie w stosunku geometrycznym, więc w 16 np. oktawie będziemy mieli miliony drgań, a do wprawienia ich w ruch potrzeba np: *c* z 4-jej oktawy wibrującego 1.500 razy na minutę.

Motor wynaleziony przez Reeley'a składa się z kuli metalicznej o 75 centymetrach średnicy, osadzonej na korbie nieruchomej, na której może się obracać. Z drugiej strony kuli umocowana jest sztabka, zakończona kółkiem transmissyjnym. Owa korba nieruchoma wchodzi do wnętrza kuli i zakończona jest aparatem, składającym się z blaszek podobnych do rejestrów, jakie widzimy w piszczałkach, z rurek połączonych z temi blaszkami, z kilku kamertonów i z blaszki Chalidniego, mającej za zadanie doprowadzanie do zgody wszystkich tonów. Owe blaszki, kółka i kamertony mogą być wprawionemi w drganie. Uderzenie młotkiem skutecznie to najdoskonalej, skutkiem czego gromadzi się w kuli jeden i ten sam ton w kilku najwyższych oktawach, a następnie wytwarzają się milionowe wibracje, wywierające nadzwyczaj silne ciśnienie na wnętrze kuli, tak, iż naraz zaczyna się ona obracać z niesłychaną szybkością i za pośrednictwem kółka transmissyjnego porusza mechanizm z taką siłą, że w przeciągu kilkunastu minut wywierca dziurę półtora metra głębokości w tak twardym mienerale, jak kwarc.

Nowowynaleziony ten motor zapowiada kolosalny przewrót w stosunkach ekonomicznych. Siła bowiem nic nie będzie kosztowała, maszyny parowe sprzedawane będą jak stare żelaztwa, a węgiel kamienny będzie sobie spokojnie narastał w głębi ziemi.

Prócz tego, z powodu lekkości podobnego motoru, rozwiązana zostanie bezwarunkowo tajemnica kierowania balonami. Jednem słowem: korzyści nieobliczone—ale potrzeba czekać na ostateczne sprawdzenie wynalazku.

* * *

I Francuzi nie zalegają pola na drodze wynalazków i odkryć naukowych. Inżynierowie odbywają tam obecnie próby z nowym aparatem zwanym *Kryptofonem*. Aparat ten, którego budowy nie znamy, posiada tę własność, że zakopany w ziemię, podczas nocy przenosi na znacznej przestrzeni, mianowicie w odległości kilku kilometrów szmery i mowę ludzką prowadzoną w pewnej miejscowości; umieszczony zaś pod wodą przenosi szmery sprawiane torpedami. W sztuce wojennej odkrycie to niesłychanej doniosłości...

A no, i zakochani będą musieli się mieć na baczności...

J. S.

Zarząd Towarzystwa Osad Rolnych krząta się gorliwie około urzędzenia jak zwykle w poscie r. p. seryi prelekcyi publicznych. Według zasiągniętych wiadomości serya ta zapowiada się bardzo świetnie, jak to wnosić można z poniższej listy prelegentów. Dotąd zapewnili swój udział w wykładach: Prof. Dr A. Białecki, ekonomista Jan Bloch, prof. Fr. Bylicki z Krakowa, literat Donimirski, adwokat A. Jawornicki z Kalisza, prof. Dr baron Lesser z Lipska, Dr J. Ochorowicz z Paryża, literat Wł. Olendzki (Jacek Soplica), adwokat Ed. Plebiński, literat H. Sienkiewicz, prof. Dr M. Straszewski z Krakowa, adwokat Ad. Suligowski, professor Dr Szajnocha z Krakowa. Przedmioty wykładów bardzo interessujące, a niektóre w najwyższym stopniu na czasie. Mniemam należy, że oświecona publiczność na sza, tak chętnie gromadząca się na odczytach w sali ratuszowej, i w tej seryi prelekcyi znajdzie pożyteczny i przyjemny posiłek umysłowy, a jednocześnie dostarczy Towarzystwu Osad Rolnych środków do utrzymania Zakładu Studenckiego i założenia zamierzonego przytułku poprawczego dla dziewcząt.

Nakładem M. Orgelbranda w Warszawie

Wyszła z druku książka p. t.:

MASSAŻ

Sposoby wykonywania, zastosowanie i skuteczność w leczeniu chorób zewnętrznych i wewnętrznych

opracował

Dr. JÓZEF STARKMAN

Cena w Warszawie 60 kopiejek, z przesyłką pocztą kopiejek 90.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dla prenumeratorów na prowincyi dołącza się „Prospekt” dziennika politycznego, społecznego i literackiego **SŁOWO**.”

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się **Cennik zabawek pedagogicznych i gier umysłowych** Winiakowskiego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Dokończenie powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.

TREŚĆ. Z cyklu Sonetów, El-y'ego. — Pogawędka. — Kwestya kobieca, przez Maryą Ilnicką. — Szwab, (dalszy ciąg), (Szkie do poprzedz. przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Czytanie rodzinne, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Z działu przyrody, (dokończenie), przez J. S.

Dodatek obejmuje Dokończenie powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.—25 wzorów ubiorów i robót z opisem.—**Sekrety gospodarskie.** — Dyspozycyą stołu

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою. — Варшава 23 Ноября 1888 года.